

№ 5. Rok XVIII.

Dnia 17 (29) Stycznia 1898 r.



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Henryk Sienkiewicz z dziećmi.

(Fot. Orion).

Henryk Sienkiewicz.

W roku bieżącym przypada dwudziestopięciolecie działalności autorskiej Henryka Sienkiewicza, którego nawisko z chlubą i uznaniem wymieniamy my, jego rodacy, a znać cenimy wysoko, jako genialnego powieściopisarza, cały świat cywilizowany.

W ciągu tych dwudziestu pięciu lat napisał on trzydzieści kilka tomów mniejszych lub większych powieści, a każda z nich, tak pod względem treści i uczucia, jako też stylu, potęgą wyobraźni i malowniczości słowa, należy do pereł literatury, i choć pisana prozą, śmiało do rzędu utworów poezji zaliczoną być może.

To też dzieła jego tłumaczą się na wszystkie języki słowiańskie i na większość innych języków europejskich, w Anglii zaś zwłaszcza i Ameryce Północnej pozyskał jego talent równie gorących wielbicieli, jak we własnym kraju.

Sienkiewicz urodził się w 1846 r. na Podlasiu, w Woli Okrzejskiej w powiecie Łukowskim. Po ukończeniu b. Szkoły Głównej, chociaż przeważnie zamieszkiwał i zamieszkuje dotąd w Warszawie, jednak odbył kilka wielkich podróży do Ameryki Północnej i Afryki wschodniej, a w ostatnich czasach znaczną część każdego roku spędzał w Zakopanem i w różnych miejscowościach Europy.

Nie będziemy wyliczali tytułów utworów Sienkiewicza, oznaczając je niezadługo z historii literatury i z samych książek. Do najwspanialszych i najciekawszych należą powieści historyczne z XVII wieku: „Ogniem i Mieczem,” „Potop” i „Pan Wołodyjowski,” przedstawiające walki z kozakami, Tatarami i Szwedami. W trzecim tomie „Potopu” mieści się wstrząsający opis obrony Jasnej Góry przed wojskiem szwedzkim. Obecnie wychodzi nieukończona jeszcze powieść z czasów Władysława Jagiełły, pod tytułem: „Krzyżacy,” w której prawdopodobnie opisaną będzie bitwa pod Grunwaldem. Oprócz tego napisał on także powieść z czasów prześladowania pierwszych chrześcijan za Nerona, cesarza rzymskiego, pod tytułem „Quo Vadis.” Powieści te są tem cenniejsze, że autor jest głębokim znawcą przedstawianych przez siebie okresów historycznych i opisuje z niezmierną wiernością obyczaje i charaktery ówczesnych ludzi, tak różnych od dzisiejszych, wcielając się w nich siłą talentu i odtwarzając znakomicie ówczesny język i sposób mówienia.

Z powodu tego dwudziestopięcioletniego jubileuszu znakomitego pisarza podajemy jego portret wraz z dwojgiem ukochanych dzieci, Heniem i Dzinia. Ale autor „Potopu” kocha także i inne dzieci, zwłaszcza te, którym jest niedobrze na świecie, a najlepszym tego dowodem jest to, że nieraz robił ich bohaterami swych słicznych i rzewnych obrazków. „Janko muzykant,” „Jamioł,” „Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela”).

Wśród wielu wybitnych cech talentu swego posiada Sienkiewicz znakomity dar obrazowania swych pomysłów. Wsiady jego raz przeczytane, pozostają na zawsze w pamięci, jak gdyby widziane w rzeczywistości. Dla przykładu podamy tu z powieści: „Krzyżacy” niektóre szczegóły dotyczące królowej Jadwigi:

Jadwiga, mówi autor, weszła przez drzwi do zakrystyi. Przawszy ją, rycerze bliżsi stallów, jakkolwiek msza się jeszcze nie zaczęła, poklekali natychmiast, mimowoli oddając jej cześć, jak świętą. Zbyszko *) uczynił to samo, albowiem w całym tam zgromadzeniu nikt nie wątpił, że ma naprawdę przed sobą świętą, której obrazy będą zdobiły z czasem ołtarze kościelne. Szczególniej od kilku lat, surowe, pokutnicze życie Jadwigi sprawiło, że obok czci winnej królowej, oddawano jej część niemal religijną. Z ust do ust między panami i ludem enodziły głosy o cudach, spełnianych przez królową. Mówio-

no, iż dotknięcie jej dłoni leczyło chorych: ludzie, pozbawieni władzy w rękach i nogach, odzyskiwali ją po włożeniu starych szat królowej. Wiarogodni świadkowie zapewniali, iż słyszeli na własne uszy, jak raz Chrystus przemówił do niej z ołtarza. Czcili ją na klęczkach monarchowie zagraniceni, czcili i obawiał się ją obrazić nawet hardy Zakon krzyżacki. Papież Bonifacy IX nazywał ją świętobliwą i wybraną córką Kościoła. Świat patrzył na jej postęпки i pamiętał, że to dziecię domu Andegawęńskiego i polskich Piastów, że ta córka potężnego Ludwika, wychowanka najświetniejszego dworu, a wreszcie najpiękniejsza z dziewic na ziemi, zrzekła się szczęścia, zrzekła się pierwszej dziewiczej miłości i poślubiła, jako królowa „dzikiego” księcia Litwy, aby wraz z nim skłonić do stóp Krzyża ostatni pogański naród w Europie. Czego nie dokazały siły wszystkich Niemców, potęga Zakonu, wyprawy Krzyżowe, morze przelanej krwi — tego dokazało jedno jej słowo. Nigdy chwala apostołstwa nie opromieniła młodszego i cudniejszego czoła — nigdy apostołstwo nie połączyło się z takim poświęceniem, nigdy niewieścia piękność nie zaświeciła taką anielską dobrocią i takim cichym smutkiem.

Opiewali ją też minstrele na wszystkich dworach Europy; zjeżdżali się do Krakowa rycerze z najodleglejszych ziem, by widzieć tę „polską królową”, kochał ją, jak żenicę oka, jej własny naród, któremu przez związek z Jagiełłą przyniosła potęgę i sławę.

Przychodzili więc do niej ludzie błagać, by uprosiła im zdrowie, przychodzili wysłańcy od ziem i powiatów, by w miarę potrzeby modliła się to o deszcz, to o pogodę na żniwa, to o szczęśliwą kośćbę, to o pomyślne miodobranie, to o obfitość ryby w jeziorach, to zwierza w lasach. Groźni rycerze z nadgranicznych zamków i gródków, którzy, przejętym od Niemców zwyczajem, trudnili się zbójnictwem lub wojną między sobą, na jedno jej napomnienie wkładali miecze do pochew, puszczali jeńców bez okupu, zwracali zagarnięte stada i podawali sobie dłonie do zgody. Wszelka niedola, wszelkie ubóstwo, cisnęło się do bram krakowskiego zamku. Czysty duch jej przenikał w serca ludzkie, łagodził los poddanych, dumę panów, surowość sędziów — i unosił się, jak świt szczęścia, jak anioł sprawiedliwości i spokoju, nad całą krainą.”

„Wszystkie oczy spoczęły teraz z miłością na tem cudnym obliczu, któremu ni złoto, ni drogie kamienie nie mogły przydać ozdoby. Królowa szła z wolna od drzwi zakrystyi ku ołtarzowi, mając oczy wzniesione do góry, w jednej ręce książkę, w drugiej różaniec. Zbyszko ujrzał liliową twarz, niebieskie źrenice, rysy poprostu anielskie, pełne spokoju, dobroci, miłosierdzia, i serce poczęło mu bić, jak młotem. Wiedział on, że z rozkazania Bożego, powinien kochać i swego króla, i swoją królową, i miłował ich po swojemu, ale teraz serce zawrzało mu nagle miłością wielką, która powstaje nie z nakazu, ale bucha sama przez się, jak płomień — a jest zarazem i czcią największą, i pokorą, i chęcią ofiary.”

Niemniej wzruszającym jest opis śmierci i pogrzebu ubóstwianej królowej; gdy życie jej okazało się w niebezpieczeństwie, żal i smutek zapanował powszechny.

— „W samym Krakowie nakazano uroczyste procesye. Wystąpiły wszystkie cechy i wszystkie bractwa. Całe miasto zakwitło chorągwiami. Odbyła się i procesya dzieci, sądzono bowiem, że niewinne istoty najłatwiej ubłagają Boga o łaskę. Przez bramy miejskie zjeżdżały się coraz nowe tłumy z okolicy.

I tak płynął dzień za dniem, wśród ustawicznego bicia w dzwony, wśród gwaru po kościołach, procesyi i nabożeństwach. Lecz gdy upłynął tydzień, a i dostojna chora i dziecię jej żyły jeszcze, poczęła otucha wstępować w serca. Zdawało się ludziom rzeczą niepodobną, aby Bóg zabrał przedwcześnie władczynię państwa, która tyle dla niego uczyniwszy, musiałaby pozostawić niedokończone ogromne dzieło — i apostołkę, która ofiarą własnego szczęścia przywiodła do chrześcijaństwa ostatni pogański naród w Europie. Uczeń wspominał, ile czyniła dla Akademii, duchowni — ile dla chwały

Bożej, statysci — ile dla pokoju między chrześcijańskimi monarchami, prawnodawcy — ile dla sprawiedliwości, biedni — ile dla ubóstwa, i wszystkim nie mieściło się w głowie, iżby życie, tak potrzebne dla królestwa i świata całego, mogło być przedwcześnie przecięte.

Nikt nie wychodził z dobrą nowiną. Owszem, twarze panów, wjeżdżających na zamek lub wyjeżdżających przez bramy, były posępne i z każdym dniem posępniejsze. Mówiono, że książę Stanisław ze Skarbimierza, mistrz nauk wyzwolonych w Krakowie, nie odstępował już królowej, która codziennie przystępuje do Komunii. Mówiono również, że po każdym przystąpieniu komnata jej napełniała się światłem niebieskiem. Niektórzy widzieli je nawet przez okna, ale widok ten raczej przerażał oddane pani serca, jako oznaka, że już rozpoczyna się dla niej życie zaziemskie.

O godzinie trzynastej z południa ozwał się dzwon na katedralnej wieży. Nie zrozumiano odrazu, co to znaczy, jednakowoż niepokój począł podnosić włosy na głowach. Wszystkie głowy i wszystkie oczy zwróciły się ku wieżycy na kołyszący się z coraz większym rozmachem dzwon, którego żalosny jęk poczęły powtarzać inne w mieście: u Franciszkanów, u św. Trójcy, u Panny Maryi — i hen dalej, jak miasto długie i szerokie. Zrozumiano wreszcie, co znaczą owe jęki; dusze ludzkie napełniły się przerażeniem i takim bólem, jakby owe śpiżowe serca dzwonów uderzały wprost w serca wszystkich obecnych.

Nagle na wieży ukazała się czarna chorągiew. Wówczas ustała wszelka wątpliwość. Królowa oddała ducha Bogu.

Pod zamkiem rozległ się ryk, płacz stu tysięcy ludzi — i pomieszał się z ponuremi odgłosami dzwonów. Niektórzy rzucali się na ziemię, inni darli na sobie szaty lub rozdrapywali twarze — inni spoglądali na mury w niemem osłupieniu, niektórzy jęczeli głucho, niektórzy, wyciągając ręce ku kościołowi i komnacie królowej, wzywali cudu i Bożego miłosierdzia.

Smutek ponury padł na miasto, na cały kraj, i nie tylko ludowi pospolitemu, ale i wszystkim wydało się, że wraz z królową zagasła dla królestwa pomyślna gwiazda.

W katedrze odprawiano się uieustajające nabożeństwo: przy katafalku płonęły tysiące świec woskowych, a wśród tych blasków i wśród kwiatów leżała ona, spokojna, uśmiechnięta, podobna do białej róży mistycznej — ze złożonymi w krzyż rękoma na laurowej sukni. Lud widział w niej świętą, przyprowadzano do niej opętanych, kaleki, chore dzieci — i raz wraz w środku świątyni rozlegał się krzyk to jakiejś matki, która na twarzy chorego dziecka spostrzegła rumieńce, zwiastuny zdrowia, to jakiegoś paralityka, który nagle odzyskiwał władzę w schorzałych członkach. Wówczas serca ludzkie przejmował dreszcz, wieść o cudzie przelatywała kościół, zamek, miasto, i ścigała coraz większe roje nędzy ludzkiej, która od cudu tylko mogła spodziewać się poratowania...

NIEDŹWIEDŹ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

P. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

Widząc zaś, że wszyscy drżą z przestachu, a nikt się do poszukania kluczy i otworzenia bramy nie bierze, chwycił pochodnię z rąk pachołka i przyświecając nią sobie, począł własnoręcznie kluczy szukać na śniegu.

Tymczasem przez otwartą furtkę za maleńkim człowieczkiem, wszedł tak wysoki i gruby, iż wszystkich w podwórzu okazała swoją postać przewyższając. Biegł też szybko i wołał:

— Bartolo, bestyjo, toć mi gdzie w śniegu utoniesz!
I chciał uchwycić maleńkiego, lecz ten wyprawiając dalej pocieszne skoki, zręcznie mu się wywijał.

Chował się między stojących i wybiegał znów z drugiej strony.

Ta gonitwa jednych rozśmieszyła, innych jeszcze większym przejęła strachem, słychać też było na przemian:

— To ci uciezna bestya!

— Chryste Panie, ratuj nas od złego!

— Toć człek krześcijański, a tembardziej dziecko tak się wywijać nie potrafi!

— A jeszcze tak dostatnio kozuchem odziane!

— Abo i ten wielkolud, toć przecie widno, że też z piekła rodem! — dodawano z przestrachem, zapominając już nawet i o znaku krzyża świętego.

Inni śmielsi wołali:

— Uciekaj, uciekaj!

— Tu był, a juści go niema!

I rozstawiali ręce, żeby owego ludka pochwycić.

Z za bramy zaś słychać było rżenie koni i niecierpliwy głos ludzki, domagający się, by go wpuszczono w podwórzec.

Wreszcie pan marszałek klucze odnalazł, zgrzytnął zamek, zaskrzypiały wrzeczadze i wszedł człowiek w zwykłym, podróżnym kozuchu i czapie na głowie, prowadząc za sobą dwa dzielne, buchające parą konie.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — zawołał przybyły.

— Aleście nas też mospaństwo pod bramą wytrzymali — dodał, zwracając się do pana Ignacego.

— Odebrać konie! — rozkazał pan Ignacy.

Przybyły swem powitaniem w Imię Chrystusa, zażegnał strach na chwilę; spełniono więc rozkaz.

— Toć chyba nie złe kiedy rzekł: „pochwalony” — ozwał się któryś z czeladzi.

— Toć ich nie wiele! — rzekł inny — oczekując naprzód ukazania się większego pocztu.

— Zamykaj bramę! — zawołał marszałek, idąc obok przybyłego.

Lecz stróż zamiast spełnić rozkaz, stał z rozwartą gębą nie mogąc sobie z tego wszystkiego zdać sprawy.

Po chwili zaczął bełkotać i zwał się na śnieg jak długi.

— Zamroczycie mu się!

— Albo go złe już objęło! — dodał inny.

A kiedy się wzięto do podniesienia leżącego stróża, jeden z pachołków rzekł flegmatycznie;

— Trza zamknąć, bo się jeszcze więcej takich może tu zwalić i wszystkich nas zamroczycie!

I jał zamykać ciężkie wrzeczadze.

Tymczasem pan marszałek zapraszał przybyłych pod dach, a mały człowieczek ujrzawszy, że się o niego nie troszczą, wskoczył na ramię olbrzymowi i zwinnie schował się pod jego olbrzymi kozuch.

— Ogon ma, ogon, prawdziwy czort! poczęto znów wołać.

I strach który ozwaniami się ostatniego z przybyłych był jakoś zażegnany, teraz znów wszystkich ogarnął.

Nawet pan marszałek spojrzał nieufnie, stłumiwszy jednak lęk, jał wypytywać:

— A skądże to waszecie tak odrazu zmiarkowali, że jego królewiczowska mość gości w naszym zamku? Toć zajeżdżać tu nie miał.

— To się wie! zawsze tym traktem jechał, boć od Warszawy najprzezpieczniej póki można, brzegów Wisły się trzymać, a bocznych dróg unikać. Kiedy więc zgubiliśmy ślad kolasy, a zawieja się poczęła, rozpytywaliśmy się i powiedziano nam około karczmy Szczerbatki, że jakaś wspaniała kolasa, a przy niej nie szpetny poczet skręcił wprost do zamku.

Pan marszałek spojrzał z pod oka na mówiącego, a ten odchrząknawszy, dodał:

— Dzięki Bogu, żeśmy go spotkali, boć chodziło o to coby duchem do stolicy wracał, tak królowa jejmość kazała.

Pan Ignacy spojrzał jeszcze uważniej na przybyłego. Jego powtórne wspomnienie imienia boskiego dodało marszałkowi otuchy, odpędził więc myśli strachliwe a bałamutne, jakie na widok ogona wymykającego się z pod futrzanego okrycia w które ustrojony był maleńki człowieczek, mimowoli przychodziły mu do głowy, obejrzał się jednak na idącego tuż za nimi olbrzyma. Ten jakkolwiek wielki, nie różnił się niczem od innych, o ile to można było dojrzeć przy blasku pochodni. Stworzonka zaś maleńkiego nie widać było zgoła, boć ono siedziało ukryte w zanadru olbrzyma. Gdy tak zbliżali się do zamku, na podsieniu ukazał się jako tako przybrany pan Piotr Opaliński.



Statek pod masztem.

Z obowiązku ochmistrza, któremu powierzono dziecię królewskie, wyszedł on przekonać się, załi rzeczywiście nie grozi jakie niebezpieczeństwo.

Czas jakiś widział tylko gromadkę ludzi idących ku zamkowi, w dali migające pochodnie i kręcących się tłumnie w podwórku, słyszał też dalsze i bliższe głosy, a z tych osatnich łatwo mógł się domyśleć, że chyba niema niebezpieczeństwa, bo nader spokojnie brzmiały.

Chwilę nasłuchiwał, a gdy przybyli stanęli już nieopodal podsienia, zawołał:

— Mości Basaty, a co tam?

— Z rozkazem od jej królewskiej mości — odrzekł pytany.

— Jakim? — zapytał ochmistrz.

— Cobyście nie jadąc już dalej, duchem wracali.

— Hm! — mruknął do siebie pan Opaliński, a potem w myśli dodał.

— Cóż tam tak nagłego?

I wzruszył nieznacznie ramionami,

Nie dziwił się jednak bardzo, przywykł już bowiem do niespodziewanych rozkazów królowej. Czytelnik zaś łatwo zapewne już oddawna się domyślił, że ów Zygmunt, gość zakroczymskiego zamku, był to syn Zygmunta I-go i Bony Sforcyi, która jedynaka zbytmiemi pieczętami i wybrykami swego nierównego a przewrotnego charakteru, nietylko psuła, ale nawet i tyranizowała. Nie pozwalala bowiem na żadne przynależne jego wiekowi zabawy, otaczała zawsze poufnemi sobie ludźmi, którzy najmniejszą wesołość karcili, powstrzymując dziecięce igraszki, jednym słowem: „nie wolno”. Od roku dopiero zezwoliła, iż małego Zygmunta oddano pod rozumną opiekę Piotra Opalińskiego, kasztelana gnieźnieńskiego, który jakkolwiek młody, odrazu zrozumiał fałszywy kierunek, jaki chciano nadać królewskiemu jednynakowi...

Kilka razy już otrzymał pozwolenie wyjechania to do Warszawy, dla odwiedzenia przyłączonej od r. 1526 do korony dzielnicy mazowieckiej, to na Litwę, gdzie małego Zygmunta oddawna mazowszabiano sobie za księcia i pana.

Ochmistrz rad był zawsze z takiego przyzwolenia, bo obiecywał sobie, iż raz wyrwawszy młodego Jagiellona z pod wpływu niewieściego dworu królowej matki, będzie mógł nadać inny kierunek jego wychowaniu.

Radłość jednak Piotra Opalińskiego krótko zawsze trwała; zwykle bowiem w chwili wyjazdu matka pozwolenie cofała a dziewięcioletni Zygmunt dni całe spędzał w otoczeniu Włosek, bawiących go śpiewem, muzyką, tańcem lub opowiadaniem najuierozsądniejszych i najmniej stosownych do jego wieku baśni.

Opowieści te nabawiały chłopca zabobonnym strachem i nie licowały najzupełniej z wychowaniem, jakie powinien był odebrać syn królewski, w którym naród już wówczas widział przyszłego swego pana.

Lecz gdy w jesieni r. 1529 Litwa obrała małego królewicza swym Wielkim Księciem, po długich przedstawieniach, Bona zdecydowała się wreszcie wypuścić go z pod swej pieczy. Powierzywszy więc syna kasztelanowi gnieźnieńskiemu, zezwoliła na wyjazd do Wilna. Nie pierwej jednak dała swe przyzwolenie, aż zgodzono się, że pojedzie również oddana jej i ciesząca się zaufaniem sinjora Alenini, dotychczasowa ochmistrzyni królewicza i kilka jeszcze wiernych jej służek.

W tem otoczeniu wyjechał królewicz zaraz po godach, w tem też otoczeniu widzimy go w zakroczymskim zamku, gdzie zagnany śnieżycą, miłej doznawał gościny.

Ochmistrz królewicza przyzwyczajony do cofania przez królowę rozkazów wydanych nieraz przez nią samą i teraz, jakkolwiek bardzo niezadowolony, nie zdziwił się pogoni, która ich po tygodniowej podróży do stolicy wzywała.



Statek z masztem pochyionym.

Z tem wszystkiem jednak gdy Basaty i jego towarzysz zrzucili z siebie ośnieżone zwierchnie kubraki i weszli do komnaty, pan Opaliński zapytał:

— Pismo?

— Jest, jest, a jakże! — odrzekł Basaty i wyjął głęboko schowany w zanadrzu pakiet.

— Ten do waszej miłości — rzekł, oddając list opatrzone pieczęcią — a ten, do sinjory ochmistrzyni — dodał, pokazując misternie złożony papier.

A przybliżywszy się szepnął z uśmiechem fluternym:

— Mam go oddać do własnych rąk siniorze ochmistrzyni...

Kasztelan gnieźnieński nie zwrócił nawet uwagi na to zwierzenie Basatego, a raczej może udawał, iż go to nie obchodzi bynajmniej, lecz czytał przy pozostawionej od wiecz-

rzy, a teraz zapalanej woskowej świecy, następujące po włosku własnoręcznie przez królowę napisane wyrazy:

„Mości panie Opaliński, ochmistrzu mego syna królewicza Zygmunta.

Rozkazujemy, aby syn nasz Zygmunt nie puszczając się w dalszą drogę, natychmiast do stolicy powracał.

Królowa.”

Te kilka wyrazów czytał Opaliński dłużej może, niż było potrzeba, znać wpatrując się w pismo, chciał z niego domysleć się, co było przyczyną tak nagłego cofnięcia rozka-

Nie jednak nie odrzekł, tylko przypatrzył się bacznie olbrzymowi w którym poznał należącego do dworu monarchii ni Ciemnosa.

Nie wiedzieć jakiego był on pochodzenia i jakiego rodu, mówił jakimś łamanym językiem, lecz u królowej jejmości wielkie miał zachowanie i często do poufnych usług był używany.

— Zaczekać na mnie! — rzekł Opaliński.

I wstał aby udać się do królewicza, gdy wszedł pan



Bezpieczne legowisko.

zu, lub też może szept Basatego o liście do siniory Alenini, wprowadził ochmistrza w zamyślenie.

— A ja mam podarunek dla królewicza od jejmości jego matki — ozwał się przybyły z Basatym olbrzym, na którego Opaliński dotąd nie zważał.

— Możesz acan dar ten zostawić, oddam go jego królewiczowskiej mości, gdy będzie gotowy do drogi.

— Eh, dużoby jego miłości ten podarunek nabawił kłopotu; chyba, że sam go doręcze — odrzekł przybyły.

Pan Piotr zagryzł pomimowoli wargi. W tem odezwanu się bowiem spostrzegł, iż królowa wysłała ludzi, którzy znać mieli polecenie na każdym kroku go pilnować i o postępowaniu jego potajemnie jej donosić.

Ignacy i zapytawszy ochmistrza o pozwolenie, przybyłych do oficyny na posiłek zaprosił.

Tymczasem w komnatach zamkowych gwar był i hałas nie do opisania.

Któraś ze służebnych doniosła seniorze Aleninie, o jakimś napadzie na dwór, inna utrzymywała, że jako żywo napadu żadnego niema, jeno królewicz mocno zachorzał.

— Pono go strzyga nawiedziła, bo posłano po księdza kapelana, który zarazem jest i doktorem — utrzymywała jeszcze inna.

Że zaś wszystkie razem gadały, a siniora Alenini nie bardzo rozumiała po polsku, tem mniej więc mogła wykalkulować z ich gadania, co się to stało.

Pojmowała jednak, że się coś stać musiało. Biadała więc na poły po polsku na poły po włosku:

— Dziecko oddać ochmistrz, otóż i biada, babskie wychowanie zło, je dobrze, chorować, tam pan Opaliński nie puszczać, pójdę! Guai a te! Opaliński, guardi il celol... Dio majuti! — krzyczała w coraz to większym gniewie.

I narzucała na siebie bezładnie ubranie, w końcu otuliwszy się ściągniętą z łóżka pierzyną, wybiegła, a za nią dwie służebne: jedna, którą z sobą przywiozła a druga przez panią Antoniewą oddana na jej usługi.

(d. c. n.)

Zaczarowane skrzypki.

Skrzypko moja, malowana,
Z lipowego drewna,
W cztery struny nakręcana
Piosenkami śpiewna!
Cztery struny, cztery tony
I włosiany smyczek,
Huczą basem, jakby dzwony,
Nuca, jak słowiczek.
I jak zagram — miły Boże,
Serce w piersiach skacze,
Bo ta skrzypka cuda może,
To śpiewa, to płacze.
Oj, bez ojca, oj bez matki
Sierotam, chudzina,
W lesie sosny, w polu kwiatki,
To moja rodzina.
Ziemia — moja matuleńka,
Ojciec — Pan Bóg w niebie,
Skrzypka — moja siostrusieńka
Mam ci ją dla siebie.
Na pociechę, na wygranie,
Co smutne, radosne,
Panu Bogu dziękowanie
Za kwiaty, za wiosnę.
Jak mi smutno, to piosnkami
Nucę sobie smykiem,
Jak wesolo, to nutkami,
Dzwonię ze słowikiem.
Modłę ja się na tej skrzypce,
Co wieczór, co rano,
Przy ruczaju, przy tej lipce,
Nad łąką kwiecianą.
Chociaż ciężką czasem dolę
Pan Bóg dał sierocie,
Zawsze moją skrzypkę wolę,
Niżli skarby w złocie.

Marya S.

Żagiel w kształcie parasola.

Wiek nasz, słusznie wiekiem wynalazków zwany, coraz więcej ułatwia ludziom sposoby do przebywania lądowych, morskich, a nawet napowietrznych przestrzeni. W Anglii świeżo wynaleziono nowy przyrząd do statków żaglowych, zabezpieczający je od wywrotu na morzu. Nacisk wiatru na zwykłe dotąd używane żagle przechyla częstokroć łódź w niebezpieczny sposób, zapobiega temu żagiel w kształcie parasola rozpięty nad statkiem, działanie bowiem wiatru dąży wtedy do unoszenia łodzi w górę, co ułatwia sterującemu utrzyma-

nie równowagi. Ów parasol żaglowy daje się dowolnie pochylać w odpowiednim dla żeglujących kierunku, laska jego bowiem zaopatrzona jest w zawiasy. Nowy ten wynalazek oddać może w przyszłości wielkie usługi łodziom ratunkowym, pozwalając im utrzymać się na powierzchni choćby silnie wzburzonego morza.

BEZPIECZNE LEGOWISKO.

W głębi lasu, na małej polance, wśród zieleni wysokich traw i barwnego kwiecica, żyje szczęśliwie rodzina ślicznych, niewinnych sarenek, ciesząc się swobodą, a radując ciepłem i światłem budzącego się letniego poranka.

Dobrze im tu i bezpiecznie w tem zaciszu. Więc gdy nie dokucza im głód i pragnienie, młode sarenki to skaczą sobie bez troski, to spoczną opodal matki, która z powagą i wdziękiem właściwym swemu rodowi, czuwa nad niemi, baczną na lada szalest, na lada ruch w pobliżu. Bo ona zna już niestety, że czasem najniespodziewaniej zjawić się może groźne niebezpieczeństwo, czy to w postaci drapieżnego zwierza, czy też okrutnego myśliwego z psami i straszną bronią palną.

Wtenczas jedyny ratunek, jaki im zostaje, jest najspieszniejsza ucieczka, bo wysmukłe ich nóżki, zdolne do zadziwiającej szybkości, są całą siłą, całą obroną w jaką matka przyroda uposażyła sarnę. Wprawdzie samiec, kozłem zwany, zdobny jest w piękne rogi, które rozrastają się w górze w liczne gałęzie czyli odrostki; broń to wszakże niedostateczna przeciw ostrym kłom i pazurom drapieżnego zwierza. Mimo tego kozieł zwykł przewodniczyć stadu, wśród którego żyje w przykładowej zgodzie, prowadząc na żerowiska i do strumieni czystej wody, wywiązuje się zaś ze swej roli opiekuna i obrońcy, pilnie wietrząc i rozpatrując okolicę. Łagodnych obyczajów roślinożerne te zwierzęta, żyją rodzinami w stadach, liczących niekiedy po dziesięć sztuk; a zarośla, polanki leśne, łąki i pola są ulubionem miejscem ich pobytu. Rdzawo czerwona letnia sukienka sarny, zabarwia się ciemno na zimę. Ruchy jej są lekkie i szlachetne, w spokoju bieży wolnym truchtem z wyciągniętą szyją; przestraszona pędzi w szerokich skokach, i nie rzadko najściglejszej nawet uchodzi pogoni,

NA POLANCE

powieść

P. E. Jerlicza.

(Dalszy ciąg)

„Tak dojechaliśmy do końca alei i zawróciliśmy z powrotem, kiedy nagle doktor Bobrowicz zawołał: panno Joasiu! tylko niech panienka nie patrzy na tę dziewczynę, co idzie po tamtej stronie drogi. O! na tę, co teraz stanęła pod topolą! Gdyby nic nie mówił, nie byłabym z pewnością zauważyła jej, bo nie mam zwyczaju rozglądać się, ale teraz właśnie otworzyłam szeroko oczy i przypatrywałam się ciekawie. A co zobaczyłam, okropność! Tam szła dziewczynka w towarzystwie starszej kobiety, krokiem tak chwiejnym i niepewnym, iż zdawało się, że co chwila upadnie, przytem ręce i głowa trzęsły się jej okropnie, co wszystko razem sprawało straszne wrażenie.

„Na ten widok zapomniałam o swojej urazie i o wszystkim na świecie, a zapytałam z przestachem: Dla czego

ona chwieje się tak cała? — Jest to zwykle następstwo choroby nerwów, odpowiedział najspokojniej doktor Bobrowicz. Uczułam jak na raz zrobiło mi się gorąco. Przypomniałam sobie jak ciocia mówi, że ja jestem nerwowa i wiecznie ojcę powtarza, że mnie trzeba leczyć na nerwy. Co? ja miałabym kiedyś tak się trząść cała! Wielki Boże! czy to pojmujesz Iziu? Ja miałabym kiedy tak okropnie wyglądać! Nie, nie, po stoko nie! Rozumiem uchodzić za chorą, być celem pieczołowitości wszystkich w domu, leżeć w strojnym szlafrocuku na fotelu, rozumiem nawet umrzeć, ale poetycznie, tak jak to umierała, pamiętasz? ta artystka na scenie, z bukietem kwiatów w rękach, z rozpuszczonymi włosami. Pamiętasz? zachwycaliśmy się wtenczas obiedwie. Ale zostać dotkniętą takim strasznym kalectwem! Nie chcę, nie chcę, nie chcę!

— Czy to proszę pana — zapytałam z bijącym sercem doktora Bobrowicza — można się wyleczyć z takiej choroby?

— Hm, należy to do rzadkości, gdy już raz choroba dojdzie do takiego rozwinięcia — wyrzekł, zastanawiając się nad każdym słowem, ale bardzo łatwo jest nie dopuścić do takiego stanu.

— A sposób na to jaki? — pytałam niespokojnie.

— Łatwy bardzo; należy unikać tego wszystkiego co drażni nerwy: zabaw, przeciągających się do późnej w nocy, widowisk teatralnych, czytania książek bezsensownych, natomiast ruch na świeżem powietrzu i praca, praca i ruch, panno Joasiu.

Zajechaliśmy właśnie przed naszą kamienicę. Wyskoczyłam z powozu i biegłam po schodach na górę; czułam się silną i zdrową. Owszem, pojedę na wieś, skoro ojciec sobie tego życzy i doktor Bobrowicz radzi, nie dla tego wszakże żebym była chorą — tylko żeby się zahartować, bo rzeczywiście w naszym domu pełnym wygody i komfortu to jest niemożliwe. Ale w każdym razie będzie to z mojej strony wielka ofiara. Czuję, że się poświęcam.

Drugi list Joasi Mirskiej do Izi N.

Kochana Iziu!

W ostatnim liście obiecałam ci opisać moje przybycie na wieś i wrażenia doznane wśród nowych warunków i ludzi.

Wyjechawszy z Warszawy pociągiem o godzinie trzeciej po południu, stanęliśmy wieczorem w gubernialnem mieście N., od którego o trzy wiorsty leży Polanka, miejscowość, w której obecnie przebywam.

Zanocowaliśmy naturalnie w N., gdzie zabawił się jeszcze większą połowę dnia następnego: dopiero po spożytym obiedzie (szkaradny był pomimo, że z najpierwszej restauracji) i po łodach w miejscowej cukrowni, wyjechaliśmy najętą dorożką do Polanki.

Jak mi się podobali moi przybrani opiekunowie i cały ich dom, doprawdy nie umiem powiedzieć. Powitanie było bardzo serdeczne; ojczulek z panem Skalskim przypominali sobie dawne czasy, czem ojczulek rozezulił się bardzo. Ja pozostałam w roli obserwatorki i dotąd z niej nie wychodzę, a z moich spostrzeżeń doszłam do przekonania, iż nie rozumiem jak oni tutaj mogą żyć i czuć się szczęśliwymi. Nie masz pojęcia jak tu u nich skromnie, ubogo prawie. Nigdzie dywanów puszystych, nigdzie zwierciadeł w kosztownych ramach. Iziu! Iziu! żałuj mnie, jak ja tu wyżyję te kilka miesięcy! Żeby się chociaż byli staranniej przybrali na nasze przyjęcie. Ale wyobraź sobie, pani Skalska wyszła do nas w fartuchu, również jej córka, Zosia, panienka w moim wieku, I gdyby to chociaż były eleganckie fartuski z batysty i koronki, takie, jakie brałyśmy, naliczając herbatę przy gościach, ale gdzie tam! zwyczajny sobie fartuch z szarego, ordynarnego płótna.

Nie! stanowczo, ja tutaj z tymi ludźmi nie wyżyję, ucieknę po tygodniu próby z powrotem do Warszawy. Przecież świeżego mleka i powietrza można wszędzie dostać, a ja po to tylko tutaj przyjechałam.

Ale wracam do mego sprawozdania.

Jest tutaj jeszcze staruszek, ojciec pana Skalskiego, ciekawam czy też będzie bardzo nudny? i dwóch chłopców,

synów państwa Skalskich, Staś i Janek, z pozoru bardzo przyzwoicie się przedstawiają, żeby ich tylko elegancko ubrać, bo bez eleganckiego ubrania czy może się kto dobrze wydać. Prawda Iziu?

„Zosia Skalska chciała mnie zaraz zapoznać z panienkami, które mieszkają w Polance z rodzicami swymi, na letniem mieszkaniu, i wszyscy naturalnie bywają u państwa Skalskich. Przyjęłam jej propozycję dosyć chętnie, w nadziei, że znajdę jakieś towarzystwo wśród nudów, na jakie tutaj będę skazana. Szłam więc z moją przewodniczką do lasu, gdzie zgromadzone było całe towarzystwo, nie spodziewając się wcale doznać wiele przyjemności wśród tych nowych moich znajomych. Poznałam więc pomiędzy innemi Kasię Wojciechowską, Zenię Rudnicką i Ludwikę Wolską. O tej ostatniej Zosia Skalska mówiła mi przedtem z takim uniesieniem i zapałem, jakby o jakim ósmym cudzie świata; słuchałam jej z pobłażliwym uśmiechem, nie chcąc się zdradzić, że mnie te przesadne pochwały o kimś nieznanym nie zajmują bardzo.

Rzeczywiście jednak Ludwika jest bardzo, ale to bardzo ładną. Aż się zdziwiłam skąd w takim zakątku wzięła się taka niezwykła uroda. Więc też nie rozmawiałam prawie zupełnie ze Stasią i Zenią, ale grzecznie się przysunęłam do Ludwiki i zaczęłam z nią rozmowę, która jakoś nam się nie kleiła. Ona zagadnęła mnie, iż słyszała od Zosi, że ja dużo podróżowałam. Odpowiedziałam, że bardzo dużo i że ostatniego roku byłam w Wenecyi. Zaczęła mnie wypytwać o Wenecję. Mówiłam jej że staliśmy w pierwszorzędnym hotelu, gdzie ojczulek płacił za dobę trzydzieści sześć franków, że było tam wspaniałe urządzenie, koronkowe zasłony nad łózkami, za naciśnięciem guzika cały pokój zalany został światłem elektrycznym. Ale ją, jak uważałam, nie zajmowały wcale te szczegóły, pytała mnie o jakieś gmachy, o jakieś place, o jakieś mosty. Miałabym też sobie czem głowę zaprzętać. Odpowiedziałam też, że nigdy na coś podobnego nie zwracam uwagi. Uśmiechnęła się jakoś dziwnie. Powiem ci szczerze, kochana Iziu, że oprócz urody, nie mi się więcej w tej Ludwice nie podoba. Wyobraź sobie, taka duża panienka, prawie dorosła, bo ma już lat szesnaście, a bawi się z dziećmi w najlepsze. Pozwala też dzieciakom wiejskim całować się po rękach, wypytuje się o ich matki. Nie rozumiem coby mnie mogło obchodzić takie prostactwo brudne, bose, rozczochrane. Chłopstwo w ogóle jest bardzo nieporządne, raz tylko zajrzałam do wiejskiej chałupy, to myślałam, że się uduszę. Nie cierpię wszelkiego prostactwa i obdartusów!”

IV.

Była godzina szósta rano. Słońce jak zwykle w lipcu stało już dosyć wysoko, kiedy Joasia zbudziła się ze snu. Równocześnie drzwi do jej pokoju roztworzyły się, i weszła Zosia Skalska, z kufelkiem świeżego mleka.

— Wypij, Joasiu — przemówiła wesoło, podając jej mleko — świeżutkie, prosto od krowy.

Zosia codziennie przynosiła jej ciepłe jeszcze mleko, wiedząc, że doktor Bobrowicz zalecał je dla Warszawianki.

Joasia wypila mleko, a Zosia wyszła cichutko, nie chcąc jej przeszkadzać, jeśliby spać miała ochotę.

Zosia nie przyznawała tego głośno, ale w duszy miała uczucie, że się zawiodła na tej nowej towarzyszcze. Wyobrażała sobie, że ta będzie dzielić z nią pracę, zajęcia i rozrywki, ale widząc, że Joasia czyni to wszystko niechętnie i jakby z musu, postanowiła nie narzucać się jej z niczem w najmniejszej nawet rzeczy i pozostawić własnym upodobaniom. Szła w ten co prawda za radą matki.

Po wyjściu Zosi, Joasia westchnęła.

— Ach Boże! Boże! — myślała z miną ofiary — znów będę musiała nudzić się przez cały ten dzień bez końca. Ale co robić? Trzeba wstawać, bo czuję, że już nie zasnę.

Przeciągając się, ziewając, zaczęła się ubierać. Gdy w końcu zeszła na śniadanie do jadalnego pokoju, już tam nikogo nie było.

— Prawdopodobnie już wszyscy muszą być po śniadaniu i poszli do swoich zajęć — pomyślała. Lecz w tejże chwili do salki jadalnej wpadli razem Staś i Janek, którzy przybiegli już z pola na śniadanie; ujrawszy Joasię, zawołali wesoło:

— Dzień dobry, panno Joanno! pani jeszcze nie po śniadaniu? To będziemy razem śniadali!

— Dzień dobry panom — odrzekła Joasia z miną dorosłej panny. — Dawno panowie wstali?

Janek roześmiał się głośno.

— Akurat była czwarta, jakeśmy wyszli na ganek, udając się w pole.

— A dla czegoż tak rano?

— Obchodziliśmy pola, czy gdzie szkody nie robią.

— Ja nigdy jeszcze tak rano nie byłam w polu — powiedziała Joasia.

— To panna Joanka nie widziała chyba nigdy wschodu słońca? — zapytał Janek.

— Nie, nie widziałam. Czy to co ciekawego?

— Ciekawego? Ależ to prześliczne poprostu. I z zapalem zaczął opowiadać Joasi o prześlicznej grze światła w mieniących się obłokach, o budzeniu się ptasząt, o perlistej rosie, zraszającej liście i trawy. Joasia słuchała z pewnem zdziwieniem.

— Jeśli to naprawdę takie ładne, to niech mnie pan kiedy rano każe obudzić, żebym i ja to mogła zobaczyć.

— Czemu nie? mogę pannę Joannę obudzić zaraz jutro z rana. Dobrze?

— Dobrze. Niech pan zastuka do okna, tylko silnie!

— Panno Joanno, co pani pozwoli, chleba czy bułki? — zapytał Staś.

Joasia spojrzała niechętnie na stół.

Boże drogi! cóż to była za zastawa: chleb biały, chleb razowy, bułka i masło, ani sucharków, ani biszkoptów. Joasia nie czuła się wcale przy apetycie.

— Nie, dziękuję — odrzekła. Dopila swojej szklanki mleka i wstała od stołu. Chłopcy wrócili do swoich zajęć.

Dnia tego przed wieczorem, kiedy młode towarzystwo zeszło się razem, Joasia zaczęła mówić o zamierzonej na jutro rannej wycieczce. Zaledwie to usłyszała Zenia, rzekła z pewną urazą:

— Od czasu, jak jesteśny na wsi, pragnęłam zawsze zrobić wycieczkę raniutko, żeby zobaczyć wschód słońca, ale do tej chwili napróżno.

— To może panna Zenobia wybierze się jutro z nami — powiedział Staś.

— O! dziękuję, bardzo dziękuję, nie lubię grać roli piątego koła — odrzekła z dąsem panienka.

— Ha, ha, ha! jaka zabawna ta Zenia — wybuchnęła Stasia głośnym śmiechem. — Wiecie co? ona się już obraziła, żeście jej pierwej nie poprosili.

— Zdaje mi się, że cię nie wzięła za powiernicę moich uraz — zawołała popędliwie Zenia, rumieniąc się z gniewu i usiadła osobno z nadąsaną miną.

Joasia spuściła oczy. Te nieustanne pretensje Zeni, uważanie się jej za dorosłą pannę, wymagania, aby była wszędzie pierwszą i otaczaną względami, jej obrażania się ciągle, wynoszenie z majątkiem i strojenie min wzgardliwych względem niższych od siebie, uderzyły teraz dopiero Joasię jako coś śmiesznego i niewłaściwego, gdy wady te ujrzała w kimś innym.

— Doprawdy, że ta Zenia jest bardzo śmieszną — przychodziło Joasi teraz coraz częściej na myśl, i sama starała się być naturalniejszą, powściągnąć swoje pretensje do odgrywania pierwszorzędnej roli i nie chwalić się z majątkiem ojca.

— Słuchajcie! — zawołała Stasia, ale mnie zabierzecie na jutrzejszą wycieczkę?

— Z miłą chęcią — odpowiedziała Joasia.

— Czekajcie, to skoczę zaraz do Mani i Reginki, uprzedzę ich, one także pójda z nami. Zabierzecie je?

— Zabierzemy.

Stasia pobiegła pędem ku osadzie.

Za sprawą Stasi zrobiło się, że bardzo liczna gromadka wybierała się na jutrzejszą wycieczkę. Stasia obiecała, że dopilnuje, aby wszyscy zgromadzili się przed świtem, a wiadomem było, że jak Stasia wzięła się do czego, to już dokonać swego musiała. Joasia nie lubiła jej, wydawała się jej zbyt gwałtowną, za szorstką, a nieustanne jej kłótnie z Zenią, której była cioteczną siostrą, gorszyły ją bardzo.

(d. c. n.)

NOWE KSIĄŻKI.

W uzupełnieniu naszego sprawozdania o nowych książkach, nadesłanych do Redakcyi Wieczorów Rodzinnych, dodajemy że: p. Erazm Majewski pomnożył literaturę dla młodzieży nową pracą, z której można się nauczyć geologii i paleontologii, w sposób łatwy i przyjemny. Lord Puckins znany nam już z powieści tegoż samego autora p. t. Doktor Mucholapski, wraz z przyjacielem Mucholapskiego Profesorem Przedpotopowiczem i służącym Stanisławem, spuszcza się przez jedną z rozpadlin Karstu na tysiąc kilkaset stóp w głąb ziemi. Wszystkich trzech umierających z głodu, pragnienia i wycieńczenia, odkopano z zasypanej szczeliny i uratowano. Dziesięć dni nieprzytomny profesor, w śnie gorączkowym przeżywał wszystkie epoki geologiczne, aż do pojawienia się człowieka na ziemi. Nie zatrzymując się na tem, przebiega krótkim rzutem oka dzieje rodu ludzkiego i zdaje mu się, że się przebudza ze snu długiego w r. 11,896 ery chrześcijańskiej, w którym jest panowanie Powszechnej Miłości i Dobra, a z dziś żyjących narodów i wielkich stolic świata, słabe zaledwie pozostały ślady w nielicznych wykopaliskach. Z zajmującej tej książki uważni czytelnicy dużo skorzystać mogą. Wydanie piękne, licznemi ozdobione rycinami.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Henryk Sienkiewicz (z portretem). — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — Zaczarowane skrzypki, wiersz przez Maryę S. — Żagiel w kształcie parasola (z ryc.) — Bezpieczne legowisko (z ryc. — Na polance, powieść przez E. Jerlicza. — Nowe książki. — Dodatek: Jak kochać trzeba? — Pokusa, wiersz przez H. B. — U cioci Polci. — Gołąbek Bożenny. — Zamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Варшава 12 Января 1898 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego Wareaka Nr. 15.



JAK KOCHAĆ TRZEBA.

Była raz jedna mama i jedna jej córeczka — Zosia. Zosia leżała w łóżeczku z powodu bólu gardła.

— Mamusiu, proszę trochę poczytać.

— Dobrze, zaraz — i mama poczęła Zosiuni czytać wierszyki o dwóch dziewczynkach, co miały tyle kłopotu z praniem dla lalek.

— Mamo, wody!

Mama wstała, ale, że świeżej wody nie było na stoliku, poszła więc do drugiego pokoju nalać jej z karmafki.

Zosiunia nie lubi kiedy mateczka odchodzi od jej łóżka, woła za nią:

— Mamo! mamo!

Mam i biegnie prędko, a Zosiunia prosi tylko o poprawienie poduszeczki.

Schyliła się mama, układa poślanie, zaledwie jednak usiadła, Zosia przypomina sobie, że lalka jej została w jadalnym pokoju, prosi więc o przyniesienie laleczki.

Mama tego dnia nie odpoczęła od rana; prócz zajęcia z Zosią miała dużo pracy z gospodarstwem i młodszym synkiem. Przyniosła jednak laleczkę. Zosia chciała prosić jeszcze o małą kuchenkę, stojącą w kącie pokoju, kiedy nagle spostrzegła, że mateczka oparła się ścianę i pobałdła bardzo.

Dziewczynka przełękła się okropnie, bo ona kochała swoją mamę, tylko nie zawsze pamiętała o tem, że trzeba i o niej myśleć nie zawsze o sobie, że takie kochanie to jest dopiero kochanie prawdziwe.

Co ci to mateczko? — zawołała przestraszona! Zosia.

— Nie, nie, dziecko, może chciałaś jeszcze czegoś? może ci przynieść kuchenkę?

Ale Zosiunia potrząsała główką, a potem zbliżyła buzię do ucha matusi szepcząc,

— Złą masz córeczkę mateczko!

— Dla czego dziecko.

— Bo tylko o sobie myśli. I lezka zawisła na oczkach Zosi. Mama ucałowała ją nie mówiąc słowa, a Zosiunia nie żądała już żadnych posług dnia tego, bawiła się sama w łóżeczku, i gdy nazajutrz wstała wyręczała mamusię we wszystkim o ile mogła, patrząc uważnie czy nie jest zmęczoną i bladą.

POKUSA.

— Masz tu kluczyk od szufladki,

Rzekła mama do Anteczka,

— Tam są drobne czekoladki,

Weź trzy sobie z pudełeczka!

Antoś biegnie, i za chwilę,

Mówi z żalem: O mój Boże!

Tu cukierków tyle... tyle...

A on tylko trzy wziąć może!

— Czyż wie mama, ile było

W pudełeczku — myśli sobie,

— Czy zobaczy, że ubył?

Wezmę więcej, tak, tak zrobię!

Już wyciąga rączkę małą

Po cukierki, lecz dla czego

Bierze jakoś tak nieśmiało?

— Ach! nie, nie, nie zrobię tego!

I w pudełko zaraz wkłada

To, co zabrał niewłaściwie,

— Oszukiwać nie wypada,

To byłoby niegodziwie!

Choć mnie tutaj nikt nie widzi,

Złe ludzkiego ujdzie oka;

Lecz złym czynem Bóg się brzydzi

Który patrzy wciąż z wysoka!

I rad chłopczyk z czynu swego,

Tej pokusy już unika,

Nie chcąc myśleć już nic złego

Wnet odchodzi od stolika.

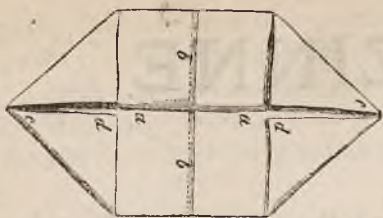
H. B.

U cioci Polci.

(Dalszy ciąg).

— A więc dalej do roboty — rzekła ciccia. Weźmy tym razem długi kawałek papieru, złożmy na pół wzdłuż, potem wszerz i rozłożmy. Potem zagnijmy wszystkie

fig. 62.



cztery rogi tak, aby leżały na środkowej linii (fig. 62). Punkta gdzie różki się stykają nazwijmy *c* i *d* i założmy rogi tak, aby *c* znalazł się na *d* (fig. 63), poczem linie *e e*

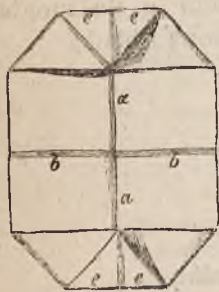


fig. 63.

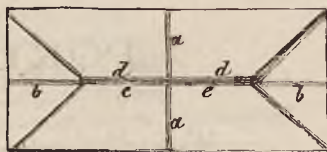


fig. 64.

umieścimy na linii *b b* (fig. 64). Przewróciwszy papier na drugą stronę widzimy, że mamy czworokątą, podłużną figurę. Zagnijmy dwa krótsze boki tak, aby się zna-

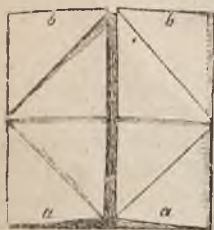


fig. 65.



fig. 66.

lazły na środkowej linii (fig. 65) i złożmy wszystko na pół, umieszczając *b b* na *a a* (fig. 65). Otrzymamy wtedy dwie torebki złączone. Z jednej z nich trzeba wyciągnąć luźny różek, który posłuży do ich zamykania (fig. 66).

— Wyborne torebki — zawołał Henryś — zaraz włożę w jedną krajowe marki a w drugą zagraniczne.

— Chciałabym bardzo zrobić coś takiego z papieru, aby się mamie mogło podobać — rzekła Elżbietka.

— Pokażę ci parę sposobów składania małych bilecików, gdy się niema pod ręką koperty — odrzekła ciocia. — Może się to mamie spodoba. Najpierw złożcie list jak najprościej wzdłuż, a trzymając go u jednego końca lewą ręką, prawą ściśnijcie mocno dwoma palcami w drugim końcu; obróciwszy nieco papier, naciśnijmy go znów zok w piezwszym kierunku i tak aż do końca, a wasz list przybierze taką formę (fig. 75). Albo założcie kołeczka *a* pod kątem prostym tak, aby leżał koło *b*. Przewróćcie papier na drugą stronę i znów założcie *b* w ten sam sposób. Założcie *b* za *a* i koniec.



fig. 75.

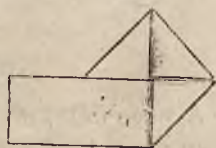


fig. 76.

— Ten sposób lepiej mi się podoba — rzekła Elżbietka gdyż można na dłuższym końcu napisać adres (fig. 76).

— No, dość już zabawek na dzisiaj — rzekła ciocia Polcia; — może będziemy mieli znów kiedy pochmurny i dżdżysty dzień a wtedy...

— Wtedy, będziesz naszym złotym promykiem, kochana ciociu — zawołał Kazio, przerywając.

— Co on chce przez to powiedzieć? — spytała ciocia.

— Już my wiemy o co chodzi — rzekły dzieci.

— A teraz powiedzcie mi, czy wam się podobają papierowe zabawki? — zapytała ciocia.

Dzieci jednogłośnie wykrzyknęły:

— Podobają, i jak jeszcze!

— No, to w pierwszy wilgotny dzień, jaki się trafi, nauczę was robić jeszcze różne inne rzeczy z papieru.

— Niech żyje ciocia Polcia! — zawołał Henryś.

— Niech żyje złoty promyczek — krzyknął jeszcze głośniejszym głosem Kazio.

I tak zakończył się wesoło ten dzień, który dzieci miały przepędzić tak smutnie.

GOŁĄBEK BOŻENNY.

(Dalszy ciąg)

To mówiąc dawała mi całować złoty mały medalik z Matką Boską, z jakimś niewyraźnym znakiem herbowym i cyframi po drugiej stronie. Zdjęła mi go z szyi pierwszego zaraz dnia po nieszczęsnem przybyciu mojem do obozu cygańskiego i dla ukrycia przed chciwymi towarzyszami nosiła go sama na piersiach, a zwróciła mi drogą pamiątkę dopiero przed śmiercią swoją, gdy byłem już dość silny, aby bronić swojej własności.

Po tych słowach Stefan wyjął z zanadrza mały medalik, zawieszony na czarnym sznureczku, a panienki przyglądały się ciekawie jej drogocennej dla chłopca pamiątce rodzinnej. Potem Ludmiła zapytała:

— Powiedziałeś, że ci to Bogna oddała przed śmiercią, więc dobra cyganka nie żyje?

— Niestety, wskutek zapewne niewygód i trudów nabawiła się choroby płucnej; gdy zachorowała, byłem już dziewięcioletnim wyrostkiem, zdolnym rozumieć, jak wiele traciłem z jej śmiercią. Pielęgnowałem też ją o ile mogłem najstaranniej; w czasie pochodu siałem jej na wozie miękkie z siana posłanie, przed zimnem i wilgocią okrywałem chustami. Na postojach rozpalałem dla niej oddzielnie ogień, żeby mogła rozgrzać zeszytwniałe członki i karmiłem ją z taką samą troskliwością z jaką niegdyś ona mnie żywiła. Choć nigdy przedtem, mimo plag otrzymywanych od starszego cygana, a szyderstw znoszonych od rówieśników, nie dałem się nakłonić do próbowania rzemiosła złodziejskiego, do jakiego małych cyganków zaprawiają od młodu, chociaż przywódcy bandy oświadczałem stanowczo, że w późniejszych latach będę mu się wysługiwał jako kotlarz lub kowal, a za kim dorosnę pomogę doglądać koni w taborze, ale nigdy nie przestąpię dobrowolnie siódmego przekazania Boga, powtarzanego

codziennie w pacierzu, przez miłość jednak dla mojej drogiej opiekunki, widząc jej zapadłe coraz więcej policzki wychudłe ręce, spalone gorączką usta, poważylem się kilka razy porwać ukradkiem kury gosposiom wiejskim, aby tylko biedniej chorej dostarczyć trochę lepszej i pożywniejszej strawy. Nie to nie pomogło; siły jej nikły z dniem każdym; z rozpaczą dowiedziałem się od cyganów, że chwile jej policzone. Wtedy to Bogna, czując koniec swój bliski, przyzwała mnie do siebie, pobłogosławiła jak własnego syna, oddała medaliki przykazała, abym nie pokazywał go cyganom i nigdy się z nim nie roztawał, w końcu opowiedziała mi, że i ona nie była pochodzenia cygańskiego, ale podobnie jak ja w dzieciństwie od rodziców uprowadzona i dla tego tem gorętsze miała dla mnie współczucie. Wypowiedziawszy to wszystko kazała mi przysiąc, że do złodziejstwa i złych czynów nie dam się namówić, że przez pamięć o niej będę się starał być uczciwym człowiekiem i nie zapomnę modlić się codzienie za jej duszę.

Bóg też w nagrodę zesłał jej śmierć tak łagodną, że mnie czuwającemu nad nią zdawało się, iż tylko słodko zasypia, gdy jej powieki przymknęły się do snu wiecznego, z którego nie miała się już przebudzić. Długą chwilę nie chciałem uwierzyć, że już nie żyje, siłą prawie oderwali mnie od jej ciała. Na drugi dzień wykopano grób pod wysoką sosną w lesie, starszy cygan pokropił go wodą święconą, którą mieli zawsze na wypadek chrztu i pogrzebu, odmówił nad zmarłą modlitwy i spuszczone jej zwłoki do dołu, który był dla niej miejscem wiecznego spoczynku. Przysypałem ją całą uzbieranemi w lesie kwiatami, każdy z kolei rzucił garść ziemi i niebawem maleńka mogilka pozostała jedynym śladem po tej, która nieszczęśliwe dziecko przygarnęła jak druga matka do kochającego swego serca.

— Jak ty sobie biedny dawałeś radę bez twojej dobrej opiekunki? — zapytała Bożenna.

— Ciężko mi było bez niej bardzo — odparł chłopiec, któremu to wspomnienie wyciskało jeszcze łzy z oczu. Z jej śmiercią zaczęły się najsmutniejsze chwile mego życia, starsi cygani o mnie nie dbali, rówieśnicy dokuczali złośliwie i nie było komu ująć się za nieszczęśliwym. Wymawiano, że jestem darmozjadem w obozie skoro nie mam sprytu do złodziejstwa, a siły moje jeszcze do rzemiosła nie starczyły. Raz gdyśmy się zatrzymali w pobliżu małego włoskiego nadgranicznego miasta, gdzie w skutek odbywającego się jarmarku zbiegowisko udu było wielkie, starszy cygan przywołał nas kilku wyrostków jednego mniej więcej wieku i rozkazał każdemu, w którą stronę miał się udać na poszukiwanie zdobyczy, zapowiadając, że będziemy surowo ukarani, jeśli nie sprawimy się sprytnie i nie przyniesiemy do obozu.

Poszedłem tedy z drugimi do miasta, ale w duchu robiłem mocne postanowienie pozostania wiernym nauczycielom mojej drogiej opiekunki. Nie mogąc spokojnie paść na krywdę wyrządzoną drugim, gdy zobaczyłem jednego z moich młodych towarzyszy przysuwającego się ukradkiem do koszyka ubogiej kobiety, niosącej produkty wiejskie na jarmark, przestrzegłem ją o grożącej grzybie, tak, że chłopak, pochwycony już z koszyka węzełek nusiał oddać, ratując się ucieczką przed goniącymi za nim

ludźmi. Lecz uciekając pogroził mi pięścią i zawołał, że mi tego nie daruje. Jakoż gdyśmy do obozu wrócili i każdy z wysłanych do miasta chłopców przyniósł skradzione kury, jaja, sery, prosięta i t. p., ja jeden tylko powróciłem z pustemi rękoma, a w dodatku młody cygan oskarżył mnie o zdradę.

Nie minęła mnie zapowiedziana kara; starszy cygan wychłostał mnie bez miłosierdzia i oświadczył, że wieczorem jeśli nie przyniosę jakiegokolwiek zdobyczy, podwójna kara mnie czeka.

Cierpiałem podwójnie z bólu i doznanego upokorzenia, obiecywałem też sobie więcej do obozu cygańskiego nie wracać. Choćby mi przyszło z głodu i zimna umrzeć na drodze, postanowiłem nie dotykać się cudzej własności. Gdy tedy nad wieczorem wysłał nas cygan ponownie po łupy do miasta, ja uszedłszy kawałek drogi, zawróciłem w przeciwną stronę, mając zamiar ukryć się w zaroślach sąsiedniego lasu. Na nieszczęście szpiegował mnie ów niegodziwy chłopiec, który nie mógł mi darować doznanego rano zawodu; przeniknąwszy zamiary moje, pobiegnął uprzedzić o nich starszego cygana. Ten puścił się natychmiast za mną w pogoń, dostrzegłszy to zacząłem uciekać z całych sił; wiedziałem co mnie czeka jeśli wpadnę w jego ręce. Byłem zwinniejszy i lżejszy, ale cygan stawiał dwa razy większe od moich kroki; wyglądało to jak pościg wyzła za małym zającem. W końcu sił mi zabrakło, czułem, że mnie prześladowca mój dogania i padłem bez tchu na drogę. Cygan dopadłszy porwał mnie wtedy i uniósł w górę za włosy, a ja przymknąłem oczy pewny, że ostatnia godzina moja nadeszła. Wtem niespodzianie zadudniało coś na drodze; spojrzałem ukradkiem i zobaczyłem kilku jeźdźców na pięknych koniach pędzących galopem. Ten, co jechał przodem, najpiękniej przybrany, na widok zaciętej gonitwy, a potem nieludzkiego obejścia cygana ze mną, zaczął wierchowca i zapytał zawstydzonego potrochu mego prześladowcę:

— Co wam to dziecko zawiniło, że się tak nad nim pastwicie?

— Ten chłopak do mnie należy — odparł cygan — muszę go ukarać za nieposłuszeństwo.

Oczułem instynktownie, że ratunek przyjsć mi jedynie może od tego, jakby z nieba zesłanego obrońcy, wyrwałem się z rąk cygana, przyskoczyłem ku nieznajomemu, a schwyciwszy strzemień, zawołałem z rozpaczą:

— Wyszwoń mnie panie i zabierz ze sobą! Ja nie mogę mu być posłuszny, bo on kraść mi karze, a ja wolę umrzeć niżeli zostać złodziejem. Widocznie wzruszyło, to szlachetnego rycerza; pogłodził mnie po głowie i odezwał się do cygana:

— Widzę oczywiście, że nie jesteś ojcem tego dziecka, które było może porwane rodzicom, jak to wy często robicie. Mogłbym przemocą chłopca zatrzymać, póki by się sprawa cała nie wyjaśniła, coby nie wypadło na korzyść twoją, wolę jednak zgodzić się z tobą załatwić i dla tego pytam, ile żądasz odstępnego za tego wyrostka?

— Znaleźliśmy go porzuconego na drodze i wychowaliśmy od małego — odparł obłudny cygan — skoro jednak pan sobie chłopaka upodobał, to mnie się przecie należy koszt za jego wychowanie.

PYTANIE.

Jaki wypadek dziejowy zaszedł u nas w roku 992?

SZARADA.

*Pierwsze to spójnik, drugie szukaj blisko i daleko,
Bo wprost jest znaną rybą, a na wspak zaś rzeką.
Wszystko to gród, co z dziejów łańcuchem się sprzęga
Tak długim, że aż Leszka Czarnego dosięga.*

ARYTMOGRYF.

p. Laszkę.

- 1) 7, 8, 1, 1, 18. Miasto w Rumunii.
- 2) 8, 5, 4, 8, 11. Słynny wódz madziarski.
- 3) 13, 6, 8, 4, 2, 17. Miasto we Włoszech.
- 4) 11, 18, 8, 13, 8. Grecka bogini.
- 5) 3, 8, 15, 6, 11, 10. Ptak pływający.
- 6) 19, 4, 1, 8, 17, 8. Miasto w Szwecji.
- 7) 9, 8, 13, 11, 8, 20, 8. Miasto w Belgii.
- 8) 2, 5, 21, 13, 2, 16, 2. Rzeka w Ameryce.
- 9) 1, 10, 19, 12, 6, 5, 14. Muzyk kompozytor niem:
- 10) 10, 8, 13, 14, 6. Wyspa Jońska.

Zastąpić liczby literami, aby pierwsze litery tych wyrazów, złożyły imię i nazwisko historyka XV wieku.

KWADRAT MAGICZNY.

p. Alesandra Ster.

a	a	a	a	Kapłan budaistyczny.
a	a	l	z	Rzeka syberyjska.
m	m	m	z	Grecka bogini sztuki.
u	u	r	r	Rzeka w Armenii.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 3.

Zagadki: San, sen, syn.

Łamigłówki w kwadracie:

G i r a f a
D e l f i n
K a n g u r
G a z e l a
D r e t w a
C z a j k a

Niteczki Aryadny:

Wielka to mądrość nie być porywczym w działaniu
I nie stać upornie przy każdym swem zdaniu.

Skrzynka do listów.

Pani Filomenie S. Za zmianę adresu dołącza się kop: 15.

P. Helenie G. Wieczory pod wskazanym adresem dla siostrzyczek sz. pani wysyłamy. Jaskółka pierwsza do nich napisze.

Kop. 50 wrzuciliśmy do skrzynki dla biednych dzieci. Stokrotce za przysłane rzeczy w imieniu ubogich dzieci przesyłamy „Bóg zapłać.”

Maryi Mrozow... Początkowe numera Jurasia i Anulki posyłamy, przez nieuwagę zapewne żądasz początku „Niedźwiedzia” gdyż powieść ta rozpoczęła się w noworocznym numerze. Rozwiązania dobre, później może podamy także wzory do wysyłania.

Przelotnej ptaszynie polecenie spełnione, za życzenia dziękujemy serdecznie.

Ninie i Jadwidze K. Podarki przysłane na gwiazdkę z wdzięcznością przyjęte zostały w Szpitaliku, a lalka i zabawki uszczęśliwiły nie jedną ubogą dziewczynę. Chociaż spóźnione przesyłamy serdeczne podziękowania za życzenia noworoczne.

Aleksandrowi W. Bardzo radzi jesteśmy, że Wieczory czytasz z zajęciem. Rozwiązanie zadań dobre, a łamigłówkę jeżeli tylko okaże się odpowiednią pomieścimy. Początku „U cioci Polci” przysłać nie możemy, bo zbyt dawno już się drukuje, wyroby z papieru znajdziesz w dalszym ciągu a nawet będą one coraz więcej zajmujące.

Gucio P. przysłał dobre rozwiązania, żądane dodatki wysyłamy.

Oleńce i Magdzi z Mławy. Dziękuję wam za liściki, które mi zrobiły wielką przyjemność. Wszystko co donosicie żywo mnie zajmuje i cieszę się bardzo, że wam się książki podobają. Rada-bym bardzo się dowiedzieć, czy wybieriecie się kiedy do Warszawy, tymczasem ściskam was serdecznie, do miłego widzenia.

Kryszałkowi za miły liścik dziękujemy, życząc powodzenia w rozpoczętych naukach.

Dobre rozwiązania szarad i łamigłówek nadesłali: Przelotna ptaszyna, Z. O., Paluszek, Czarny Sęp, Ułan z nad Krzyny, Kryszałek, Trzy Raczki z Siedlisk, Słoń z Nubii, który dołączył łamigłówkę geograficzną własnego układu.

P. Filomenie Ł. Z miłą chęcią redakcyja zadowolni życzenia sz. pani i Wieczory wysyłać będzie, ale polecenia do redakcyi Tygodnika mój podjąć się nie może. Za życzenia i serdeczne wyrazy bardzo dziękuję, działo serdeczne pozdrowienia zasylam.

Wini z Łoszkowiec za miły liścik dziękuję. Zagadkę przyslij, jeżeli będzie dobrą, to zostanie wydrukowaną. Starsza siostrzyczka twoja niechże także swoją powiastkę przysyła, a w skrzynce do listów będzie wznamka, czy się do druku nadaje.

Śnieżyczce za miły liścik i serdeczne wyrazy wdzięczną jestem, z przyjemnością powitałam pierwszą do mnie odezwe. Go-łębka za pamięć dziękuje, miewa się doskonale i ma ładnego synka, którego wszyscy niezmiernie kochamy. co do mego imienia to mało ci ono powie, dużo pańienek go nosi, ze szczegółów mego życia, nadmieniam, że jestem żywą, wesołą, i kocham wszystkich moich korespondentów z Wieczorów. Mam nadzieję, że i nadal pisywać do mnie będziesz, a bądź przekonana, że każda twoja odezwa mile witana będzie. Marki nabywają niektórzy antykwaryusze, ale płacą nie od ilości, ale od jakości okazów.

Trzem Raczkom z Siedlisk. Rozwiązania zadań dobre, za liścik dziękuję i bardzo się cieszę, że wam się powieści w Wieczorach podobają, wszystkim trzem przesyłam uściśnienia.

Słoniowi z Nubii. Zadanie konkursowe drukowane będzie wkrótce, o łamigłówkach twoich przypominałam, ale kiedy będą pomieszczone nie wiem.

Od Konika polnego i Mrówki listów oczekiwać będę, bo siostrzyczka wspomina, że macie ochotę zawiązać ze mną korespondencję, a także i Janinkę S. z Szawel bardzo proszę by do mnie pisywać chciała. W wyborze pseudonymu najlepiej doradzi starsza siostrzyczka, znająca twoje upodobania i usposobienie. Proszę, pisać do mnie zawsze o wszystkim co was zajmuje i pamiętać, że z równą przyjemnością na każdy list odpowiadam zawsze wam życziwa

Jaskółka.